WTOREK

Dziś w gwiazdozbiorze przedstawiamy Leszka Herdegena

Zdjęcie: W. Moroz

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 30 11 MARCA 1975 R. CENA 1,50 Zł

W tym roku statuetka „Złotego Żubra", stanowiąca I nagrodę w ogólnopolskim konkursie na najbardziej aktywne szkolne koło Ligi Ochrony Przyrody, przyznana została młodzieży z Technikum Rolniczego w Głubczycach w woj. opolskim. Czytaj o tym na str. 5 w artykule pt. „Aby żubrów było więcej"

Zdjęcie: M. Szymański

ROSNĄ MASZTY ANTENOWE

OBRAZ I DŹWIĘK BĘDĄ IDEALNE

GDAŃSK (PAP). Gdańskie Zakłady Teleelektroniczne „TELKOM-TELMOR" są **jedynym w kraju producentem telewizyjnych anten zbiorowych.** W ciągu ostatnich czterech lat zakład dostarczył na rynek około 16 tys. tych urządzeń umożliwiających odbiór programów telewizyjnych i radiowych około 650 tysiącom abonentów. W najbliższym czasie produkować się tu będzie anteny oparte na technice półprzewodnikowej, gwarantujące idealny odbiór programów radiowych i telewizyjnych. Z zakładami „TELKOM-TELMOR" współdziała Instytut Łączności i Przemysłowy Instytut Komunikacji. **(bis)**

DZIĘKUJEMY ZA WYRÓŻNIENIE

Taki właśnie „orderowy list" otrzymaliśmy od korespondentów Harcerskiej Służby Informacyjnej z Białegostoku. Wprawdzie redakcji naszej nie udało się zamówić śniegu na zimowe ferie, miło nam jednak, że nasz wysiłek został doceniony. Dziękujemy!

TRWA MODA NA STAROCIE...

Żelazka babuni na eksport

Tradycje Koneckich Zakładów Odlewniczych sięgają końca XIX w. Obecnie zakłady te produkują ok. 600 różnych artykułów żeliwnych. Są to urządzenia piecowe i kuchenne, kotły, rury kanalizacyjne itp. Wielkość rocznej produkcji wynosi 103 tys. ton wyrobów (wartości 670 mln złotych) z czego przeszło 20 proc. eksportuje się do RFN, Danii, Norwegii, Australii, Syrii, Libii i in. Od wielu dziesiątków lat zakład wytwarzał żelazka na węgiel drzewny. Produkcji dla kraju zaprzestano w latach 50-tych. Obecnie zakłady te są jedynym producentem żelazek na węgiel drzewny. **(mh)**

Zdjęcie: CAF

PIERWSZE przyrzeczenie

POLKOWICE (HSI). 11 lutego, w trzydziestą rocznicę wyzwolenia miasta, harcerze ze Szczepu XXIII przy Szkole Podstawowej nr 3 złożyli przyrzeczenie harcerskie. Było to pierwsze przyrzeczenie harcerzy z tego szczepu, powstał on bowiem dopiero we wrześniu ubiegłego roku. Tego samego dnia wieczorem spotkał się z harcerzami b. uczestnik walk o wyzwolenie Polkowic — p. Edward Nowak. (ej)

HARCERSKIE DNI KOPERNIKOWSKIE

OLSZTYN (HSI): 8 lutego, w przeddzień 502 rocznicy urodzin wielkiego astronoma, Mikołaja Kopernika, harcerskie apele zainaugurowały w Olsztynie, Lidzbarku Warmińskim i we Fromborku IV Dni Kopernikowskie.

(ej)

CZY WYSŁAŁEŚ JUŻ SWOJĄ PRACĘ **NA WIELKI KONKURS „ŚWIATA MŁODYCH"** pod nazwą:

„ŚLADAMI JULIUSZA VERNE'A"?

Jeśli nie — pośpiesz się, gdyż ostateczny termin wysyłania prac mija 18 marca br.

PAMIĘTAJ!

Biorąc udział w naszym konkursie zdobywasz równocześnie punkty w

VI OGÓLNOPOLSKIM TURNIEJU WIEDZY OBYWATELSKIEJ — PRZYGODA Z TECHNIKĄ!

Na 50 zwycięzców naszego konkursu czekają nagrody ufundowane przez Główną Kwaterę ZHP, m. in.: rowery, zegarki, mikroskopy, adaptery oraz

WYJAZDY ZAGRANICZNE

NIE PRZEGAP TEJ OKAZJI!

(szczegóły w 21 „ŚM" z dnia 18 lutego br.)

Dziś przedstawiamy:

BERLIN ZACHODNI

Dwa powody sprawiły, że ostatnio Berlin Zachodni pojawiał się na łamach prasy. W niedzielę, 2 marca odbyły się w tym mieście wybory do Izby Posłów, stanowiącej władzę ustawodawczą, do której obowiązków należy m. in. wybór senatu czyli rządu tego miasta.

Ostatnie dni kampanii wyborczej zakłóciło porwanie przez terrorystów przewodniczącego zachodnioberlińskiej CDU, Petera Lorenza. Fakt ten stał się pretekstem do oskarżeń rządzącej od wielu lat w Berlinie Zachodnim SPD, że nie potrafi ona zapewnić bezpieczeństwa w mieście. CDU po raz pierwszy w historii uzyskała największą ilość mandatów w Izbie Posłów.

Berlin Zachodni — zgodnie z układem zawartym przez cztery mocarstwa w 1971 r. — stanowi samodzielne terytorium, nie jest konstytucyjną częścią RFN. Uznaje się natomiast powiązania gospodarcze, finansowe i monetarne tego miasta z Republiką Federalną.

Na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat miasto to stanowiło wielokrotnie punkt zapalny w centrum Europy. Układy sojusznicze z 1945 r. o podziale Niemiec na cztery strefy okupacyjne dokonały również podziału Berlina. Z chwilą powstania dwóch państw niemieckich trzy strefy okupacyjne w Berlinie: amerykańska brytyjska i francuska stanowiące dzisiejszy Berlin Zachodni, znalazły się wewnątrz terytorium NRD. Przez wiele lat, w okresie zimnej wojny, wykorzystywano to miasto jako przyczółek dywersji przeciwko NRD. Dopiero wprowadzenie przez NRD wokół Berlina Zachodniego granicy państwowej utrudniło tę działalność.

Układ z 1971 r. i szczegółowe porozumienia podpisane przez rządy NRD i RFN oraz zachodnioberliński senat stworzyły warunki dla normalizacji sytuacji w tym mieście. Uregulowały one m. in. sprawę podróży mieszkańców Zachodniego Berlina do NRD i RFN. Siły wrogie odprężeniu próbują jednak utrudniać ten proces. Od czasu do czasu pojawiają się głosy zachodnioniemieckich polityków traktujące to miasto jako część RFN, naruszeniem tych porozumień było zlokalizowanie w nim Federalnego Urzędu Ochrony Naturalnego Środowiska. Takie posunięcia działają na niekorzyść mieszkańców miasta, którym tylko dobrosąsiedzkie stosunki z NRD mogą ułatwiać rozwiązywanie różnych życiowych problemów.

Obszar: 481 km kw., ludność: 2.150 tys. mieszkańców, jednostka monetarna: marka RFN. (jm)

Dochodzi godzina piąta. Jest chłodny i ciemny warszawski ranek, mgła. W niektórych oknach zapalają się światła. Na podmiejskie dworce pociągi przywożą tłumy tłochę jeszcze zaspanych ludzi. To robotnicy 304 warszawskich fabryk śpieszą na pierwszą zmianę do pracy. Na przystankach autobusów i tramwajów w kierunku na Wolę, Służewiec, Mokotów i Pragę – tłok.

WYSIŁKIEM JEDNEGO POKOLENIA

Trzydzieści kilka lat temu inaczej wyglądały te robotnicze ranki. Inną — chociaż tę samą Warszawę — wspomina Adam Leśniewicz, stary warszawski robotnik, działacz związkowy.

Cztery razy mniejsza od obecnej, miała niemal tyle samo ludności. Wąskie uliczki, domy pobudowane ciasno, jeden tuż obok drugiego, no i przede wszystkim ludzie mieszkali dużo gorzej niż dziś. A o pracę też było ciężko. Prym wiódł w stolicy przemysł maszynowo-elektrotechniczny. „Parowóz" (dziś fabryka im. Waryńskiego), jedna z większych fabryk prywatnych, zatrudniała 700—800 robotników. U Lilpopa (Towarzystwo Przemysłowe Zakładów Mechanicznych Lilpop, Rau i Loewenstein, S-ka Akc.), też sporo ludzi pracowało. Warszawski przemysł zbrojeniowy: Fabryka Karabinów, Zakłady Amunicyjne „Pocisk" na Pradze, czy również praska „Zbrojownia" były własnością państwa. Poza tym sporo było w Warszawie fabryk przemysłu chemicznego, spożywczego (na przykład słynny E. Wedel), odzieżowego i poligraficznego.

Wiele rodzin utrzymywało się z pracy w małych, zatrudniających dwie — trzy osoby zakładach rzemieślniczych i chałupniczych. Armia warszawskich chałupników zarabiała znacznie mniej od robotników. A dzisiaj? No cóż, zmieniło się miasto, zmienił się człowiek, jego wymagania i życie.

START NIEMAL OD ZERA

Przed powracającymi w 1945 roku do stolicy warszawiakami stanęła konieczność odbudowy miasta, a wraz z nim warszawskiego przemysłu — w 90 proc. zniszczonego przez okupanta. Zdecydowana większość fabryk stała się — w myśl dekretu o nacjonalizacji przemysłu z dnia 3 stycznia 1946 roku — własnością całego społeczeństwa. Pracownicy zniszczonych zakładów sami zgłaszali się do odgruzowywania. O pierwszych po wyzwoleniu miesiącach pracy w Elektrowni Warszawskiej tak pisze w swoich wspomnieniach od lat związany z nią robotnik — **Antoni Nowakowski:**

„Elektrownia poniosła dużo większe straty niż zdawało się na pierwszy rzut oka. Niemcy mieli parę miesięcy czasu (od kapitulacji Powstania Warszawskiego — 2.X. 1944) na to, by wywieźć wszystko, co tylko dało się rozmontować... Został tylko gruz, pogięta konstrukcja, rozbite kotły i turbiny, budynki podziurawione i zburzone... Gdy po wyzwoleniu przystępowaliśmy do pracy, nie mieliśmy prawie żadnych narzędzi, żeby odgruzowywać budynki i teren; cegłę i gruz podawano sobie z rąk do rąk... Ci pracownicy, którzy mieli jakieś narzędzia w domu lub mogli się o nie postarać, przynosili je do fabryki. Pracowaliśmy tylko za dnia, bo światła nie było, a dzień krótki i do domów trzeba wracać też za dnia, bo wśród gruzów niebezpiecznie w nocy...

Rząd radziecki przyszedł nam z pomocą przysyłając ekipę speców (...) pod kierownictwem inżyniera pułkownika Ławrienienki. Otrzymaliśmy pomoc w postaci niezbędnych narzędzi, maszyn... Przystąpiliśmy do roboty całą mocą. Ja, tak jak i inni, pracowałem dniami, nocami, bez przerwy. W domu byłem tylko rzadkim gościem, zwłaszcza, że w fabryce dostawaliśmy posiłki.

Zbliżał się dzień 1 Maja, święto ludzi pracy, pierwsze po pięcioletniej niewoli hitlerowskiej, pierwsze w Polsce Ludowej. Choć w tym okresie nie było tak modne jak dziś podejmowanie zobowiązań, chcieliśmy dać stolicy światło przed tym świętem. Dopięliśmy swego. Elektrownia ruszyła już 25 kwietnia 1945 roku. Tego dnia popłynął pierwszy prąd dla Warszawy."

Ze względów ekonomicznych nie podjęto odbudowy niektórych fabryk — zamiast nich stanęły nowe. Już pierwszy plan 3-letni przynosi budowę Tarchomińskich Zakładów Farmaceutycznych i Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Cora". W latach pięćdziesiątych wizję stolicy wiązano z obrazem miasta przemysłowego, miasta robotników. Wtedy to przyszły decyzje o wielkich nowych inwestycjach Warszawy: Elektrociepłownia „Żerań", FSO, Zakłady Radiowe im. Kasprzaka czy Huta Warszawa. Większość zakładów stolicy ma historię krótszą od jej odbudowy.

WARSZAWA STAWIA NA ELEKTRONIKĘ

Dziś Warszawa stała się, po Katowicach, drugim przemysłowym ośrodkiem kraju. Jak do tego doszło? Lata sześćdziesiąte przyniosły stolicy nowe decyzje: trzeba ukierunkować warszawski przemysł. Postawiono na elektronikę, automatykę i informatykę, na przemysł motoryzacyjny, lotniczo-silnikowy, precyzyjny, farmaceutyczny oraz lekki i spożywczy — nieodzowne dla życia tego wielkiego miasta.

Dziś w warszawskim przemyśle pracuje ponad 30 proc. ogółu zatrudnionych warszawiaków. O nowych pracowników trudno, toteż stołeczne zakłady kładą największy nacisk na modernizację i zwiększanie wydajności pracy. Ale powstają też i nowe obiekty. Fabryka Wyrobów Precyzyjnych im. gen. Świerczewskiego otrzymała nową halę produkcyjną, w Hucie Warszawa, która wraz z FSO daje aż 23 proc. produkcji przemysłowej stolicy, rozbudowano ciągarnię prętów, a w FSO uruchomiono już drugą linię montażową „Polskiego Fiata". O przemyśle spożywczym też nie zapomniano — Zakłady Mięsne na Żeraniu zyskały nowoczesną wytwórnię wędlin.

W 1971 roku na posiedzeniu Biura Politycznego omawiany był program rozwoju przemysłu elektronicznego. Dziś 60 proc. całego potencjału wytwórczego tego przemysłu grupuje się w Warszawie.

O jedynym w kraju producencie kondensatorów, warszawskiej „ELWIE", opowiada główny technolog tej fabryki, **mgr inż. Henryk Bartczak:**

— Wszystko zaczęło się w 1956 r., kiedy to w „Kasprzaku" wyprodukowano pierwsze kondensatory elektrolityczne. W dwa lata później powstała Fabryka Podzespołów Radiowych „ELWA".

Najpierw była to działka na Służewcu i tymczasowe pomieszczenie w starej mleczarni. Od tamtego czasu powierzchnia naszej fabryki zwiększyła się trzykrotnie, aż przy ul. Wynalazek 3 zabrakło nam miejsca. Powstała filia zakładów w Kołobrzegu; obecnie szukamy lokalizacji na dalszą rozbudowę zakładu. W Warszawie nie ma już miejsca, a nawet gdyby się znalazło, to brakuje ludzi do pracy. A nasi odbiorcy — przede wszystkim zakłady produkujące radia, telewizory i magnetofony — wciąż domagają się nowych dostaw. Idzie tu zresztą nie tylko o zwiększenie rozmiarów dotychczasowej produkcji, lecz także o nowe wyroby. Na przykład, w tym roku rozpoczęliśmy wytwarzanie nowego typu kondensatorów tantalowych, które m. in. znajdują zastosowanie w magnetofonach kasetowych.

Przed dziesiątą na warszawskich ulicach znowu tłok. Kończą się seanse w kinach i teatrach, do pracy idzie trzecia zmiana. W oknach mieszkań powoli gasną światła. Na Woli, Służewcu i Pradze fabryki nie przerywają pracy.

EWA PLUTA

WARSZAWA WYTWARZA:

8,5 proc. dochodu narodowego
7,7 proc. produkcji sprzedanej przemysłu państwowego planowanego centralnie, w tym:
29,1 proc. przemysłu elektrotechnicznego
9,4 proc. przemysłu maszynowego
31,8 proc. przemysłu precyzyjnego
13,2 proc. przemysłu metalowego
6,6 proc. przemysłu odzieżowego
6,4 proc. przemysłu chemicznego
9,1 proc. produkcji budowlano-montażowej

WARSZAWA PRODUKUJE:

100,0 proc. magnetofonów i dyktafonów
68,8 proc. samochodów osobowych
72,5 proc. odbiorników telewizyjnych
62,9 proc. koparek
25,6 proc. wyrobów farmaceutycznych
13,5 proc. obrabiarek skrawających do metali

Rosyjska olimpiada

POLSKA. W stanicy harcerskiej w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Katowicach-Chorzowie, rozpoczęły się 2 marca br. dwudniowe centralne zawody **VI Ogólnopolskiej Olimpiady Języka Rosyjskiego młodzieży szkół średnich.** W imprezie tej uczestniczy 53 uczennic i uczniów — zwycięzców wojewódzkich eliminacji z województw: łódzkiego, katowickiego, kieleckiego, krakowskiego, opolskiego, poznańskiego, szczecińskiego, warszawskiego, wrocławskiego i zielonogórskiego.

W pierwszym dniu eliminacji zawodnicy pisali prace, mając do wyboru trzy tematy: **„Współpraca polsko-radziecka w dziedzinie nauki, ekonomii i kultury", „Moskwa — stolica Związku Radzieckiego", „Bohaterstwo ludzi radzieckich w latach wielkiej wojny ojczyźnianej".**

3 marca odbyły się natomiast przesłuchania ustne tych zawodników, którzy uzyskali najlepsze oceny za prace pisemne. Laureaci centralnych zawodów wezmą udział w eliminacjach o tytuł zwycięzcy w tej kolejnej olimpiadzie. Odbędą się one w Warszawie 9 bm. O wynikach poinformujemy w następnym serwisie.

Międzynarodowe Dni Kobiet

FRANCJA. 2 marca bm., w drugim dniu „Międzynarodowych Dni Kobiet" w Paryżu wicemarszałek Sejmu PRL, **Halina Skibniewska** wygłosiła przemówienie, w którym przypomniała, że kobiety w Polsce zawsze odgrywały doniosłą rolę w społeczeństwie. Halina Skibniewska podkreśliła także ogromny udział kobiet polskich w powojennej odbudowie kraju i w jego życiu publicznym, w którym zyskują one coraz wyższą rangę, zajmując wiele odpowiedzialnych stanowisk.

Głos zabrała także **Irena Kostrowicka,** prorektor Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Mówiąc o wzrastającym udziale kobiet polskich w gospodarce narodowej prof. Kostrowicka przypomniała m. in., że zgodnie z zaleceniami V Zjazdu PZPR przewiduje się w przyszłości zwiększenie zatrudnienia kobiet na wszystkich dostępnych im stanowiskach.

Interesująco przebiegało posiedzenie komisji roboczej do spraw rodziny, planowania rozrodczości i budownictwa mieszkaniowego. Przedstawicielki krajów afrykańskich mówiły m. in. o problemach z jakimi borykają się kobiety ich krajów na skutek słabego rozwoju gospodarczego i społecznego kontynentu afrykańskiego.

Kissinger o Kubie

USA. „W stosunkach między USA a Kubą — powiedział niedawno Kissinger na jednej ze swych konferencji — nie może być żadnych zmian tak długo, dopóki nie zostaną cofnięte sankcje przeciwko Kubie, wprowadzone przez Organizację Państw Amerykańskich w 1964 r". Jak jednak wiadomo, na niedawnym spotkaniu ministrów spraw zagranicznych państw członkowskich OPA w Quito, zdecydowana większość delegacji opowiedziała się za niezwłocznym cofnięciem sankcji antykubańskich i właśnie stanowisko USA było głównym hamulcem na drodze do rozwiązania tego ważnego problemu.

Ostatnio coraz częściej Henry Kissinger zapomina o tym, o czym mówił przed kilkoma miesiącami. Groźbę, którą wygłosił pod adresem krajów naftowych, również stara się zapomnieć. **(wp)**

Najpierw trzeba przygotować metalowy szkielet

W SREBRNEJ powstają wieżowce

SREBRNA leży pod Łodzią, jest wsią. Wokół, żadnych wieżowców nie widać, a jednak właśnie tu powstaje ich w ciągu miesiąca kilka. Bo w Srebrnej istnieje po prostu wytwórnia prefabrykatów, z których później wznosi się budynki w nowoczesnych osiedlach powstających na obrzeżu starej łódzkiej zabudowy.

Srebrna nie jest najnowocześniejsza, ale za to najbardziej typowa. Ok. 80 proc. wznoszonych dzisiaj domów pochodzi z takich właśnie wytwórni. Jest to oczywiście metoda szybsza niż składanie cegieł, jednak postęp wymaga tempa jeszcze szybszego. Dlatego też przemysł budowlany powoli przestawia się na inwestowanie w fabryki domów, gdzie produktem końcowym jest nie tylko wielka płyta, stanowiąca ścianę przyszłego mieszkania, ale również wszystkie inne jego elementy: okna, drzwi, podłoga, urządzenia sanitarne.

Obecnie w całym kraju pracuje ponad 70 takich wytwórni o łącznej produkcji 300 tys. izb rocznie. W ciągu tego roku przybędzie ich jeszcze 20. A pod koniec 5-latki fabryki domów będą nam dawać 670 tys. izb, tzn. ok. 220 tys. mieszkań.

Oznacza to, że oczekiwanie na własne lokum skróci się z początku o pół roku, rok, ale w perspektywie kilku lat — o całą pięciolatkę. Wszyscy czekamy na to z niecierpliwością. Nim jednak fabryki domów ruszą pełną parą, wydajność naszego budownictwa zwiększa się głównie poprzez intensyfikację produkcji w takich zakładach jak Srebrna.

(wp)

Zdjęcia: **Tomasz Mędrzak**

Na stalową konstrukcję zostanie wylany beton

Po zastygnięciu gotowa płyta może wyruszyć na budowę.

Któregoś dnia zwinęła nas milicja. Kumple poszli do więzienia, a ja do poprawczaka...

ŻYCIE NA OPAK

Wszystko zaczęło się od tego, że bardzo wcześnie zostałem sierotą. Wychowywała mnie ciotka, którą bardzo mało obchodziło to, co robię: czy się uczę, czy wystarczająco dobrze zjadłem, czy mam co włożyć na grzbiet. Była nawet szczęśliwa, kiedy znikałem z domu na kilkanaście dni. Miała wtedy mniej gęb do wyżywienia. Mnie też to było na rękę. Szybko bowiem wszedłem w towarzystwo starszych od siebie chłopaków, włóczących się po ulicach i zaczepiających ludzi. To mi imponowało, miałem przecież dopiero trzynaście lat — tak właśnie zaczął swą opowieść mój 32-letni dziś rozmówca z podrzeszowskiej wsi. To co mówi, pozostawiam bez komentarza.

Przestałem chodzić do szkoły

W końcu przestałem też bywać w domu. Ciotka nikogo nie alarmowała. Ot, jeden kłopot z głowy. A ja spałem po piwnicach, strychach, u paskarzy. Piliśmy z chłopakami, budziliśmy się około dwunastej, pierwszej w południe, a potem szliśmy w kurs: na piwko, zaczepiać dziewczyny w parku, albo — jak zabrakło gotówki — na kolejny skok.

Nie trwało to jednak długo. Któregoś dnia zwinęła nas milicja. Kumple poszli do więzienia, a ja do poprawczaka. I tak zaczął się w moim życiu etap kolejny.

Opowiem teraz o człowieku

...któremu zawdzięczam to, że zacząłem powoli myśleć o sobie zupełnie inaczej.

To było w rok po moim przyjeździe do zakładu. Dyrektorka wprowadziła akurat pewien eksperyment wychowawczy: wypuszczano nas w nagrodę za dobre zachowanie na dwie godziny do miasta. Bez dozoru, bez poprawczakowych ubrań.

Któregoś dnia, wałęsając się koło przystanku PKS, natknęliśmy się na chłopaka w skafandrze, który nie wyglądał na więcej niż szesnaście lat. Podszedł do nas i spytał o drogę do zakładu. Miał przewieszony przez plecy turystyczny worek, gitarę, długą pelerezę i szczeniacki wyraz twarzy. I dlatego pewno wzięliśmy go za swojego. Po drodze opowiedzieliśmy mu prawie wszystko o wychowawcach o panującej w zakładzie atmosferze. Kiedy poszedł zameldować się u dyrektorki, *załatwiliśmy* dla niego łóżko, miejsce w jadalni i szafkę na rzeczy... I wtedy on wparował do naszej sali z innym wychowawcą, który go przedstawił: „To wasz nowy opiekun!"

Zbaranieliśmy. I co teraz? Kapuś czy swój chłop? Dużo już wiedział. Powie dyrektorce czy nie?

Nic się jednak przez najbliższe dni nie wydarzyło. „Nowy" nie pisnął ani słówka. I wtedy zacząłem go nawet lubić. Zwłaszcza po tym, kiedy nie dał się wrobić chłopakom w bójkę.

Któryś z chłopaków krzyknął za nim: „Chyba się pan nas nie boi, co?" On na to, że nie, ale lubi sportową walkę. Od słowa do słowa i ustaliliśmy, że najlepsze będzie zmaganie na ręce. Wybraliśmy sędziów i określiliśmy reguły walki. Wychowawca, oczywiście, wygrał. Jednak Karol, ten najsilniejszy z nas, chciał się potem boksować. I wtedy on przyznał się, że nigdy tego nie robił i dlatego mógłby przegrać, ale nic straconego, bo można przecież założyć sekcję bokserską i razem nauczyć się tego sportu. To nam się spodobało.

Rozgadałem się o tym wychowawcy

...tylko dlatego, że był to w naszym zakładzie ktoś wyjątkowy. Nikt nam nie poświęcał tyle swego czasu i zapału. W czasie treningów pozwalał swobodnie wyładować energię i ten nadmiar agresji, który miał każdy z nas. Przestrzegał jedynie zasad fair play, nie tolerował chamstwa. Z czasem zauważyliśmy, że zmalała liczba bójek w zakładzie, zaś „sportowy kodeks postępowania" zaczął funkcjonować na co dzień.

Te kilka lat poprawczaka przeleciało w końcu dość szybko. Trudno mi było rozstawać się z chłopakami, z wychowawcą. Może z nim najtrudniej. Wiedziałem, że na zewnątrz czekają na mnie koledzy. A kto ma siłę przeciwstawić się im? Opuszczając zakład, wywoziłem ze sobą prośbę swego wychowawcy: „Pamiętaj, chciałbym, żebyś tu wracał tylko jako gość!" Przyrzekłem. Wiele rzeczy w życiu zrobiłem później właśnie dla niego.

Kiedy wróciłem do ciotki

...popatrzyła na mnie, jakbym spadł z księżyca. Bardzo niechętnie otwierała mi drzwi mieszkania. Mówiła, że nie ma warunków na to, aby mnie utrzymywać. Zostałem tam tylko jedną noc. Przez tydzień szukałem pracy. Nie chciano mnie jednak nigdzie przyjąć. Nie miałem przecież najlepszych referencji.

Któregoś dnia trafiłem do Marka. Marek to kumpel z dawnej paczki. Myślałem, że skończył już z t a m t y m. Zaprowadził mnie do siebie, do domu. Byli tam także jego koledzy.

Rano Marek kazał nam się szybko wynosić. W południe miał wrócić z delegacji jego ojciec. Umówiłem się z nim dopiero na wieczór, bo w ciągu dnia miał załatwić jakąś robotę. Wieczorem zaś zaprowadził mnie do znanej mi meliny. Od razu domyśliłem się, że planują skok. Chciałem się wycofać, ale Marek nie pozwolił. Chodziło tylko o to, żebym posłużył jako „oko". Wiedzieli, że dopiero co wróciłem z „gimnazjum" i dlatego dali mi „delikatną" robotę.

Skok się nie udał. Nic nie zarobiłem, a do tego mało brakowało, a siedziałbym znów za kratkami.

Następnego dnia spotkałem pana Bronka

...przyjaciela ojca. Zaproponował mi, że weźmie mnie na OHP do pracy w PGR. Na dwa miesiące. Zgodziłem się. Tymczasem nie miałem gdzie nocować. Przypomniałem więc sobie o piwnicy w jednym ze starych domów na przedmieściach, gdzie spali zwykle wszyscy bezdomni koledzy z dawnej paczki. Przywitali mnie jak swojego. Rano widocznie ktoś dał cynk, bo przyszła milicja. Ledwo zwiałem.

Miałem już tego dość. Byłem dorosły, skończyłem osiemnaście lat; nie miałem swojego mieszkania, *ani stałej* pracy.

Przyjaciel ojca nie przyszedł na umówione spotkanie. W pośredniaku nie było żadnej roboty. Zaszedłem więc do ciotki. Dała jeść i kazała się wynosić.

Kiedy już zwątpiłem w szczere chęci pana Bronka, ten zjawił się zupełnie niespodziewanie w melinie, w której miałem dalej nocować. Wyciągnął mnie stamtąd i zaprowadził do swego znajomego, który produkował cementowe kręgi do studni. Ten znajomy płacił po 10 złotych za godzinę. W ciągu dnia mogłem zarobić nawet do stu złotych. Przed wyjazdem do PGR miałbym więc ze dwa tysiące.

Uprosiłem też właściciela zakładu, żeby pozwolił mi zamieszkać w szopie z narzędziami. Zgodził się chętnie, a ja pracowałem od świtu do nocy, bo nie chciałem mieć żadnej wolnej chwili, w której mógłbym znowu zatęsknić za kumplami.

W końcu wyjechałem na wieś

Wszystko układało mi się nadspodziewanie dobrze. Ludzie byli spokojni. Nie bałem się niepożądanych znajomości. Trzymałem fason i nie dawałem okazji do rozrób. W PGR była świetlica. Urządzaliśmy w niej wieczorki taneczne, na które przychodziły dziewczęta ze wsi. Na jednym z takich wieczorków poznałem Barbarę. Była bibliotekarką. Przetańczyliśmy cały wieczór. Potem było jezioro, księżyc, zwierzenia. I właśnie ona była tą pierwszą osobą, której postanowiłem powiedzieć wszystko. Bałem się trochę, ale ona wysłuchała mojego opowiadania uważnie, a potem powiedziała: „Teraz będzie inaczej."

Spotykaliśmy się od tego czasu codziennie. Aż któregoś dnia Barbara zaproponowała: „Wiesz, u nas, we wsi, jest wolna posada. Potrzebują w kółku rolniczym dyspozytora maszyn. Mógłbyś tu zostać. Przecież nie masz domu. A gdybyś został..." Wszystko mi wtedy zawirowało przed oczami, jak to się zwykło mówić. Tak, to była szansa, jednak nie mogłem wyobrazić sobie życia na wsi.

Postanowiłem porozmawiać o wszystkim z panem Bronkiem. Za dużo miało się zmienić w moim życiu, nie czułem się na siłach decydować o tym sam. Rada mojego powiernika była jednak prosta: „Trafia ci się kapitalna szansa, żeby raz na zawsze zerwać z przeszłością. Powinieneś ją wykorzystać." No więc zdecydowałem się. Barbara była zachwycona. Zaraz następnego dnia zaczęliśmy załatwiać formalności. Dostałem tę posadę. Trudno mi było zaaklimatyzować się w nowym miejscu, ale w końcu przywykłem. Znalazłem przyjaciół. Polubiłem wieś. Mam pięcioletnią córeczkę. W pracy awansuję. Teraz planuję zaoczne studia na WSR.

Czasami jednak, tuż przed snem, myślę sobie, że gdyby nie te trzy osoby — wychowawca, pan Bronek i Baśka — kto wie czy nie wróciłbym tam, skąd przyszedłem. Dlaczego tak mało jest ludzi, którzy chcą wierzyć w człowieka?

Notował: **WOJCIECH PIELECKI**

Rodzice ingerują w moje życie

Mam zmartwienie, poznałam chłopca o rok starszego, ucznia klasy ósmej. Często się spotykamy, idziemy do kina, na ciekawy film, lub na spacer. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w moje sprawy wtrącają się rodzice. Kiedy wychodzę z domu pytają — dokąd idę?, po co, z kim? Jeśli nie chcę powiedzieć — zaczynają robić mi awanturę. Krzyczą, że jestem małoletnia, nie pozwalają mi z nikim się spotykać. Jak mam przekonać rodziców, że w naszych spotkaniach nie ma nic złego. Czekam na pomoc czytelników.

Zapłakana Marzena

REDAKCYJNA POCZTA

Szukamy chemików

Jesteśmy uczniami VIII klasy szkoły podstawowej w Łowiczu. Zawsze trzymamy się we czwórkę: Zula, Magda, Tomek i Wiesiek. Wszyscy interesujemy się chemią. W naszym mini-laboratorium wykonujemy różne doświadczenia. Chętnie nawiążemy kontakt z kolegami o podobnych zainteresowaniach. Listy prosimy przesyłać na adres: Magdalena Kubiak, ul. Powstańców 10b/16, 99-400 Łowicz.

Samorząd, który rządzi serio

Nasza klasa opracowała sobie własny system pracy samorządu. Jest on wypróbowany i niezawodny, stosujemy go z powodzeniem od klasy IV. Wygląda to tak: w skład samorządu klasowego wchodzą dwie przewodniczące. Jedna z nich wybierana jest w tajnym głosowaniu, druga — mianowana przez wychowawczynię klasy. Co tydzień „berło władzy" jedna koleżanka przekazuje drugiej. Taka rotacja zdaje egzamin, wyzwala szlachetną rywalizację. Jednoosobowy urząd przewidziany jest dla skarbnika. Ten system samorządności jest doskonałą szkołą dla wszystkich uczniów: nie ma u nas biernych i ospałych, a cała klasa słynie z inicjatywy.

Grupa uczniów kl. VIIIb
przy Szk. Podst. nr 23
w Zabrzu

Co robić?

Nasza klasa uważana jest za najgorszą w szkole. Wszyscy nauczyciele skarżą się na nas. Wychowawczyni ma z tego powodu wiele zmartwień. Uczniowie nie słuchają ani jej, ani samorządu, który przecież sami wybrali. Klasa jest niezgrana, każdy dba tylko o własne sprawy, nie obchodzą nikogo kłopoty innych. Mimo zmiany samorządu sytuacja nie poprawiła się.

Agnieszka z IV klasy

Od redakcji: Agnieszko, przed Wami jeszcze cztery lata wspólnej nauki i trudno Wam będzie uczyć się w tak nieprzyjemnej atmosferze. Nie chce nam się wierzyć, że cała klasa składa się tylko z samolubnych leni. Rozejrzyjcie się wokół siebie. Na pewno wśród najlepszych uczniów znajdują się tacy, którzy chcą coś zrobić, aby życie w klasie stało się ciekawsze. Jeśli ten samorząd nie zdał egzaminu — wybierzcie nowy. Wierzymy, że sytuacja w klasie zmieni się na lepsze. A że samorządy potrafią wspaniale działać, o tym również wiemy z listów od naszych czytelników.

POD UROKIEM WARSZAWY ZNAJDOWAŁO SIĘ WIELU MALARZY. DZIŚ PRZEDSTAWIAMY JEDNEGO Z NAJSŁYNNIEJSZYCH DAWNYCH MISTRZÓW PALETY ORAZ TYCH, KTÓRZY BYĆ MOŻE PODĄŻĄ W JEGO ŚLADY.

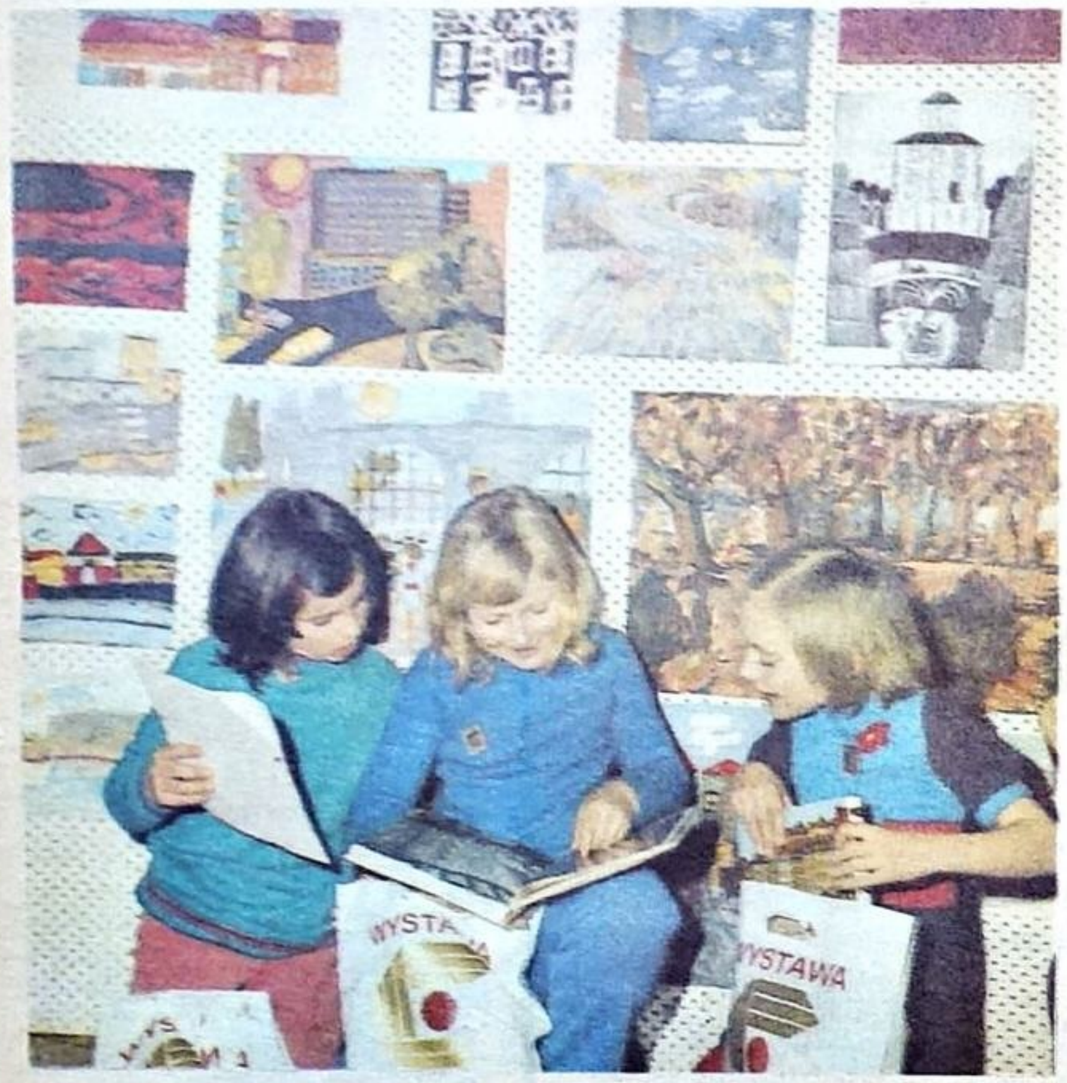

Kasia Królikiewicz, Magda Sobczyńska i Małgosia Nowa tuż po otrzymaniu nagród.

MIASTO BAJECZNIE KOLOROWE

Jedna z najmłodszych autorek — Karolina Sommer.

Miasto — ogród. Miasto — lunapark. Miasto — plątanina autostrad. Miasto — wielki plac budowy. Różnorodność treści, barw i nastrojów. Takie jest prawo każdego, kto tworzy. Prawo własnego spojrzenia na otaczający świat. Stąd założenie i nazwa ekspozycji: „Moja Warszawa".

Już u wejścia do sali ze wszystkich ścian pomysłowo urządzonej wystawy malarstwa i rysunku dziecięcego atakuje widza nieskrępowane, hojną ręką rzucone bogactwo barw i kształtów. Techniki najrozmaitsze; wśród rysunków — ołówek, kredka, węgiel, tusz nakładany patykiem i tusz skrobany, wśród obrazów — malowane plakatówką, akwarelą, a nawet wyklejanki. Króluje podstawowa, choć wcale niełatwa technika szkolna — farby wodne.

Pokaz urządzono jako część stałej wystawy „Warszawa XXX-lecia", zorganizowanej w Pałacu Kultury i Nauki. Patronowała mu Komenda Stołeczna ZHP i Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. Do konkursu zgłoszono 4500 prac ze szkół warszawskich i ognisk plastycznych, działających w Młodzieżowych Domach Kultury.

1500 najlepszych prac powędrowało do sali im. Jurija Gagarina, niestety, ze względu na brak miejsca nie sposób było zawiesić je wszystkie na ścianach. Część rozłożono na stołach. Te po obejrzeniu można było nabyć na miejscu. Wyznaczono jednakową, symboliczną cenę 20 zł. Dochód ze sprzedanych obrazków przeznaczono na Centrum Zdrowia Dziecka.

Wyróżniono 102 prace rysunkowe i malarskie, przysłane przez 96 autorów. Otrzymali oni równorzędne nagrody i podziękowania, wręczone uroczyście w dniu otwarcia pokazu.

Największą chyba jednak nagrodą dla każdego laureata jest zaszczyt uczestnictwa w tej atrakcyjnej imprezie. Wszystkie bowiem prace zostaną wraz z innymi eksponatami wystawy „Warszawa XXX" wysłane najpierw do innych miast naszego kraju, a później nawet za granicę. **(and)**

Zdjęcia: **CAF**

PRASTARE mury uroczych, małych kamieniczek. Tajemnicze krużganki i bramy z ozdobnych krat. Misterne kształty latarń, zawieszonych nad brukiem wąskich uliczek Starówki... Tak widzi swoje miasto młody twórca.

Wyolbrzymione sylwetki smukłych wieżowców. Między gmachami na różnych poziomach krzyżują się trasy kolejek jednoszynowych i innych przedziwnych pojazdów. Nad wszystkim unosi się rój helikopterów. To Warszawa, której jeszcze nie ma, to wizja miasta przyszłości.

Wielki park. Morze zieleni. Wśród drzew i kwiatów hasają beztrosko dzieci i zwierzęta. To też obraz miasta, widziany innymi oczyma.

POWRÓT CANALETTA NA ZAMEK

OBRAZY W RĘKACH KONSERWATORÓW ODZYSKUJĄ SWĄ DAWNĄ POSTAĆ

PRAWDZIWYM rarytasem galerii Muzeum Narodowego jest 25 obrazów Bernarda Bellotto znanego w Polsce od czasów Oświecenia jako Canaletto. Za króla Stasia ozdabiały one Salę Prospektową Zamku Królewskiego. Wrócą tam, kiedy Zamek zostanie całkowicie zrekonstruowany. Przedtem trzeba jednak je do tego powrotu przygotować.

W PRACOWNI KONSERWATORÓW

– To nie była taka sobie zwykła konserwacja – opowiada pan Lucjan Bielecki, kierownik grupy plastyków i konserwatorów, która długie miesiące ślęczała nad dziełami wielkiego weneckiego malarza. – **Nasze zajęcie jest żmudne, wymaga wielkiej cierpliwości i precyzji. Ktoś kto szuka w pracy ruchu, kontaktów z ludźmi, natychmiastowych efektów – nie może tu pracować. Ale gdyby nas podglądnąć w ostatnich miesiącach, można by wyrobić sobie zupełnie inne zdanie. Co krok odkrycia, sensacje i to nie byle jakie...**

W tym momencie spojrzałam na stojącą pod ścianą „Elekcję Stanisława Augusta" w nadziei, że rzuci mi się w oczy coś niezwykłego. Ale poza urokiem samego obrazu, niczego szczególnego nie dostrzegłam. Za to otoczenie, dla kogoś kto oglądał dotąd wielkie malarstwo jedynie grzecznie wiszące na ścianach w galeriach i na wystawach – było arcyciekawe.

Wszędzie iście „artystyczny" nieład: obrazy oparte o ściany, leżące na podłodze, na stołach, stojące na sztalugach. Przy niektórych uwijają się pracownicy w białych fartuchach z paletami i pędzlami. Na stole kierownika – pliki zdjęć, a na nich rysy (jak dowiedziałam się później – siatki pęknięć obrazów), niewyraźne cyfry, plamy. Dla mnie szczegóły nie do rozszyfrowania.

Ta reprodukcja pokazuje różnicę pomiędzy brudnymi i już oczyszczonymi fragmentami obrazu. Prawda, że jest ogromna?

Zdjęcie: **Z. Kamykowski**

CHŁODNE BŁĘKITY – CZY ŻÓŁCIE I BRĄZY?

Oto pierwsza niespodzianka, a zarazem przyczyna sporów w świecie ludzi sztuki.

Dlaczego polskie obrazy Canaletta były inne niż jego dzieła, wiszące w Galerii Drezdeńskiej, Ermitażu, czy w galeriach włoskich? Skąd ich wyjątkowa żółto-brązowa tonacja? Pani Gabriela Lipkowa, która całą burzliwą historię obrazów od chwili powstania po dzień dzisiejszy ma w małym palcu – uśmiecha się.

– Byli i tacy, którzy sądzili, że zamorski malarz widział Warszawę inaczej, niż inne miasta. Ale prawda jest prozaiczna. Wykryli ją konserwatorzy i... chemicy w czasie gruntownego badania obrazów. Były one po prostu brudne, pokryte grubymi pokładami starego, pożółkłego werniksu.

Czy po jego zmyciu nie staną się cukierkowe? – drżeli wielbiciele „polskiego" kolorytu canalettowskich widoków.

CZY MOŻNA POWIĘKSZYĆ OBRAZ?

Odkrycia następowały jedno po drugim. W rogach obrazów i na ich odwrocie odkryto tajemnicze cyferki. Były to numery katalogowe zbiorów. Numery katalogu Stanisława Augusta, carskie, z Pałacu Tauryckiego w Petersburgu (nic dziwnego – przecież przez 88 lat zdobiły carskie rezydencje). Prócz tego napisy w języku rosyjskim: „2,5 wierszka dabawić" – co znaczy: dodać 10 cm! Kilka też bezlitośnie zwężono o 2,5 cm...

Wiele lat po śmierci twórcy, anonimowa ręka domalowała tu i ówdzie całe fragmenty i to bardzo zręcznie. Dlaczego? Są zagadki, które zawsze pozostaną bez odpowiedzi. Nie wiadomo, gdzie podziały się rosyjskie sztukówki. Musiały być odjęte w Polsce około 1920 r. – kiedy odzyskaliśmy obrazy na mocy Traktatu Ryskiego. Do dziś żyje uczeń konserwatora, który się nimi wtedy zajmował i przysięga, że tego wtedy nie robiono. Nie wyjaśniono też do dziś dlaczego Canaletto dwa swoje obrazy namalował... na obrusach z królewskiego stołu – co wykazały prześwietlenia promieniami rentgena. Czyżby na dworze Stanisława Augusta brakowało płótna dla malarzy? A może już wtedy eksperymentowano?

ZNOWU JE ZOBACZYMY...

i to na starym miejscu, dla nich najkorzystniejszym, bo w Sali Prospektowej Królewskiego Zamku, wbudowane w jej boazerię – tak jak to zakomponował w XVIII wieku sam artysta.

Ale wcześniej, bo już w kwietniu tego roku, wyjadą na wielką wystawę sztuki polskiej w Palazzo Wenezia w Rzymie, by reprezentować polskie malarstwo epoki Oświecenia. Będzie to chyba ich ostatnia podróż.

EWA BIELSKA

Konserwatorka ze Spółdzielni „Plastyka", która patronowała pracom nad obrazami Canaletta, przy retuszowaniu ubytków w partii nieba „Elekcji Stanisława Augusta".

Zdjęcie: **K. Adamowski**

ERNESTYNA SKURJAT PISZE Z NIGERII:

SŁAWA I... REKLAMA

NIE JESTEM nałogową czytelniczką prasy codziennej, ale czytanie „Daily Timesa" to zupełnie co innego. Za jedyne 5 kobo dostaję 48 gęsto zadrukowanych stron; na blogiej lekturze upływa mi połowa dusznego, tropikalnego dnia. Przez pierwszych sześć stron przelatuję wichrem, nic tam ciekawego. Dopiero na siódmej, interesująca publicystyka. Na dziewiątą zaglądam, bo są tam informacje ze świata; skąpe, bo skąpe, ale są. Natomiast mniej skąpe są doniesienia z kontynentu. Zwykle na parzystych stronach olbrzymie reklamy. Od strony 32 rozpoczyna się już tylko sport, nekrologi i drobne ogłoszenia. I od tej strony lektura jest coraz bardziej pasjonująca. Bo jakże nie pasjonować się tak pompatycznym nekrologiem: **„Wiecznie żywej pamięci Patricka Olatunde Thorpe.** – Dziś właśnie rozpamiętujemy ów tragiczny poranek, kiedy ty, jako sekretarz ministra, podczas pełnienia obowiązków służbowych zakończyłeś swoje, tak nam drogie życie, w okropnym wypadku samochodowym w Lagos, gdzie również twe najdroższe szczątki złożono na wieczny odpoczynek... Od szesnastu długich lat czekamy odpowiedzi dlaczego los nam zgotował taką stratę. Niech Bóg wszechwieczny zapewni ci nieustający pokój i wieczną szczęśliwość".

Wstyd się przyznać, ale zebrało mi się na chichot. Ten nekrolog posiadał względne proporcje. To znaczy sam tekst jest stosunkowo krótki, kilometrowa jest natomiast lista zrozpaczonych członków rodziny: nieutulona w żalu cioteczna wnuczka, córka szwagra siostry, pasierbica wuja i... tak następuje ze dwadzieścia nazwisk. Swoista autoreklama całego rodu!

SIEDEM ZDJĘĆ KACYKA OSHINOWO

Z kolei zabieram się za ostatnie wydanie dziennika „Daily Sketch". Ogarnia mnie zdumienie; bo niemal całe wydanie poświęcone jest jednej osobie. Siedem wielkich zdjęć kacyka Oshinowo, dwa sążniste artykuły na jego temat, czternaście listów gratulacyjnych. Przy czym każdy taki list zajmuje co najmniej ćwierć kolumny, a gazeta jest formatu „Trybuny Ludu".

Już rozumiem... Kacyk Oshinowo, obchodzi czterdziestą rocznicę urodzin i drugą rocznicę koronacji na bale (króla) miasteczka Odo-Epo. I z takiej to nadzwyczajnej okazji nastąpiło otwarcie pałacu, który władca wybudował sobie kosztem 160 tysięcy dolarów. Ultranowoczesna budowla nosi nazwę „Zamku Królewskiej Zgody". Stoi w sercu mieściny zamieszkanej przez... 1500 osób. Król twierdzi – tak czytam w jednym z wywiadów – że pałac ten został zbudowany w dowód uznania dla tradycji. Bowiem znaczna część tej budowli ma być przeznaczona na działalność miejscowych zespołów folklorystycznych.

Oj, myślę sobie, nie byłoby króla stać na ten gest, gdyby nie posiadał opasłego konta bankowego. Jest przecież obrotnym biznesmanem bogaczem, któremu w pas się kłaniają firmy europejskie...

I ostatnia informacja zaczerpnięta z wywiadu: bale Oshinowo, w ramach popierania rodzimego przemysłu, zbuduje fabryczkę, w której zatrudnienie znajdzie miejscowa ludność.

Może i krzywdzę czcigodnego kacyka, ale wydaje mi się, że kolejność powinna być nieco inna: najpierw inwestowanie kapitału, bodaj w „rodzimy" przemysł, a dopiero potem budowanie pałaców.

SUNNY ADE ŚPIEWA W STYLU JUJU

Doktor M., u którego jestem w gościnie, patrzy na mnie kpiąco, jakby chciał powiedzieć: pobędziesz dłużej, a zrozumiesz wiele rzeczy.

– Nie ma pan innych taśm? – pytam go zbita z tropu. – Do czego to podobne, żeby w Nigerii słuchać amerykańskiej muzyki! – Zaczęłam szperać w pudle z kasetami. Wybór pada na nagrania młodego i popularnego piosenkarza Sunny Ade. Jest on przedstawicielem muzyki juju, a specjalizuje się w tzw. praise songs, tj. pieśniach pochwalnych, skomponowanych na cześć znanych osobistości lub przyjaciół. Po szlagierowym „Ariya" słucham nowego utworu „Pa Yohana" skomponowanego ku pamięci zmarłego ojca generała Gowona.

– Słyszała pani o tym skandalu z piosenką dla doktora Sohindemi? – pyta mój gospodarz.

Otóż w roku 1971 wytwórnia płytowa „African Songs Limited" wypuściła na rynek long-playa nagranego właśnie przez Sunny Ade i „His African Beat". Na płycie znajdował się utwór skomponowany na cześć młodego i przystojnego lekarza, Jonesa Sohindemi. Może był to swego rodzaju akt wdzięczności byłego pacjenta wobec dobroczyńcy?

Podczas rozprawy sądowej doktor Sohindemi, zapytany, czy wiedział o istnieniu tej piosenki, odpowiedział krótko: nie. Twierdzi, że był bardzo zdumiony, gdy pewnego dnia usłyszał tę piosenkę w radio. Natychmiast porozumiał się z adwokatem oraz z Sunny Ade. Ale... dziwnym zbiegiem okoliczności płyta pojawiła się w sklepach dnia drugiego września, tj. w dzień urodzin doktora.

Sunny powiedział na rozprawie, że pomysł utworu zrodził się podczas pogrzebu matki doktora Sohindemi. Sunny wraz z zespołem był wynajęty na tę ceremonię. Improwizował. Potem, podczas pobytu w Anglii, dopracował utwór i nagrał go. Na pytanie czy to prawda, że podczas pogrzebowego koncertu obsypano go banknotami, odpowiedział, że nie.

– Ale przecież, o ile zdążyłam poznać tutejsze obyczaje, to obsypywanie solistów pieniędzmi jest rzeczą zupełnie naturalną. Jest to zgodne z tradycją, nie było sensu się wypierać. A poza tym cóż złego było w tej piosence?

– Niby nic – odpowiada doktor M. – ale wszelkie formy reklamy sprzeczne są z etyką lekarską, ot co.

EBENEZER, BĄDŹ POSŁUSZNY!

Śmieszne, że w kraju, gdzie rządzi pieniądz, a o karierze decyduje reklama, jednym się tego reklamiarstwa zabrania, innym na to pozwala. Bo np. Ebenezer Obey, piosenkarz, uprawia autoreklamę bardzo sprytnie, pod płaszczykiem filantropii.

Ebenezer Oluremi Olasupo Fabiyi pochodzi z Abeokuty, z miasta, w którym teraz przebywam. Kiedy był w trzeciej gimnazjalnej, wyrzucono go ze szkoły, podobno za to, że podczas lekcji grywał na tam-tamie. W ogóle był bardzo niesforny. Nauczyciele musieli go ciągle strofować i napominać: **„Ebenezer, obey"**, co znaczy: Ebenezer, bądź posłuszny. I tak już zostało; pseudonim „Obey" przylgnął do piosenkarza.

Sława Ebenezera trwa od kilkunastu lat. Piosenkarz jest właścicielem nocnego lokalu, co przynosi mu zapewne niezłe dochody. Ale na wszelki wypadek podsyca swą sławę. Ostatnio udał się na tournée po nigeryjskich sierocińcach i zakładach dla dzieci upośledzonych. Daje tam nie tylko bezpłatne koncerty, lecz także czeki.

Za oknem popiskuje znajomy klakson. To Omojola, mój nigeryjski przyjaciel. Przyjechał, aby mnie zabrać do Ibadanu. Pakuję plecak, żegnam się z doktorem i... już mnie nie ma!

Gdzieś w połowie drogi kolizyjna sytuacja. Omojola gwałtownie hamuje, przez otwartą szybkę macha ręką komuś, kto siedzi za kierownicą samochodu jadącego z przeciwnej strony.

– A któż to taki? – pytam.

– Nie poznałaś go? Przecież to Sunny Ade. Pojechał do Abeokuty. Do domu. On tam się urodził.

Soyinka – dramaturg, Tutuola – pisarz, mama Ransome-Kuti – działaczka, papa Ransome-Kuti – wielki pedagog, syn Ransome-Kuti – piosenkarz, Sunny, Ebenezer! Same wielkie nazwiska. Słuchaj, czy w tym kraju wszyscy pochodzą z Abeokuty?

– Ja, nie – mówi Omojola i śmieje się w kułak. Dodaje gazu, musimy szybko jechać. Dziś po południu rozpoczyna się w Ibadanie wielki festiwal kulturalny. Nie wolno mi się spóźnić!

Zdjęcie autorki

---

900 TYSIĘCY UCZNIÓW – CZŁONKAMI SZKOLNYCH KÓŁ LIGI OCHRONY PRZYRODY

ABY ŻUBRÓW BYŁO WIĘCEJ

TO ŁATWO POWIEDZIEĆ, aby żubrów było więcej! Nie takie to proste, skoro już w XIV wieku spotkać te zwierzęta można było tylko w Polsce i na Kaukazie, a cztery wieki później jedyną ich ostoją w Europie była Puszcza Białowieska! Podobnie zresztą jest i teraz. W międzyczasie jednak miały miejsce dwie wojny światowe, z których pierwsza wyniszczyła całkowicie żubry żyjące na wolności, a druga tak przetrzebiła z trudem odtworzone stado, że zaledwie parę zwierząt się uchowało. Teraz w Polsce żyje ich około 470, nie jest więc już tak źle – wymarcie zwierzętom tym nie grozi. W dużej mierze jest to wynikiem akcji ratunkowej, prowadzonej od z górą 20 lat przez Ligę Ochrony Przyrody.

Wysiłki LOP mające na celu ochronę także innych gatunków roślin i zwierząt na ogół są równie skuteczne – i w końcu nic to dziwnego, skoro w samych szkołach organizacja ta znalazła 900 tysięcy zwolenników. W ostatnim roku każdy z nich, przeciętnie biorąc, zasadził jedno drzewko i trzy krzewy... W sumie to niemało, ale o ile więcej można zrobić, poważnie traktując swe zadanie, niech świadczy przykład członków Koła LOP z Technikum Rolniczego w Głubczycach w woj. opolskim. Na każdego z nich przypada około dwustu młodych dębów, modrzewi i jodeł zasadzonych w pobliskiej Marysieńce, Prudniku i Mokrem. Mają też na koncie wieleset zniszczonych sideł, zabezpieczonych mrowisk, własnoręcznie zrobionych i zawieszonych budek lęgowych, a także karmniki systematycznie napełniane produktami przyszkolnego gospodarstwa rolnego.

Nie tym się zresztą chwalą. Za prawdziwy powód do dumy uważają trwającą od lat współpracę ze stacją ornitologiczną, polegającą na dokonywaniu systematycznej obserwacji przelotów ptaków. Trzy razy dziennie, przez okrągły rok, zawsze o tej samej porze i w tym samym miejscu – a raczej miejscach (bo dzieje się to w wielu wsiach, z których pochodzą uczniowie technikum) – prowadzą obserwację i notatki o ilości i gatunku przelatujących ptaków, kierunku ich lotu, a także o panującej tego dnia pogodzie.

Koło z Głubczyc zdobyło pod koniec ubiegłego roku „Złotego Żubra", statuetkę, która stanowi pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie na najbardziej aktywne szkolne koło LOP. Te inne jednak, jeszcze nie nagrodzone, działają nie mniej pożytecznie. 80 tysięcy skrzynek lęgowych, prawie 90 tysięcy karmników, ponad półtora tysiąca ton karmy dla ptaków i ssaków łownych własnoręcznie zebranej i wyłożonej w lasach – to wiele, ale nie za wiele.

Jeśli więc ma być coraz więcej żubrów – a także orłów, puchaczy, łosi i wszystkich chronionych zwierząt i roślin – niechaj rośnie ilość „Złotych Żubrów", przyznawanych najwytrwalszym opiekunom przyrody.

H. RUDZKA
Zdjęcie: M. Szymański

Każdy z głubczyckich entuzjastów ochrony przyrody wykonał w szkolnych warsztatach znacznie więcej karmników i budek lęgowych – tego „artykułu pierwszej potrzeby" dla ptaków – niż przeciętny członek koła LOP.

NIE do pozazdroszczenia jest los niektórych zwierząt, wyrzucanych po prostu na bruk przez bezdusznych właścicieli.

Biedne, bezbronne zwierzęta są skazane na okrutną głodową śmierć i wypadki drogowe. Jestem przekonana, że prawdziwi miłośnicy zwierząt nie powinni pozwolić na dalszą ich krzywdę. Po cóż miesiąc paź-

CO TY MOŻESZ UCZYNIĆ W TEJ SPRAWIE?

PSIA DOLA

dziernik ogłaszać miesiącem dobroci dla zwierząt? Po cóż organizować wystawy psów w telewizji, pokazywać tematyczne filmy. Jak pogodzić humanitaryzm z okrucieństwem? Zdaje mi się, że w tej sytuacji Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami musi wzmóc swą działalność, częściej jeździć po mieście, zbierać bezpańskie psy, odwozić do schronisk, a w najgorszym wypadku, z braku w nich miejsca usypiać.

W naszym kraju nie mogą mieć miejsca wypadki okrucieństwa, znęcania się nad zwierzętami, tymi najwierniejszymi naszymi przyjaciółmi.

Czytelniczka D. O.
Warszawa

GWIAZDOZBIÓR

— W TEATRZE RZĄDZĄ PODOBNE PRAWA JAK W SZKOLE —

mówi

LESZEK HERDEGEN

MA ZA SOBĄ dziesiątki ról w teatrze, filmie, telewizji. Jego charakterystyczny, mocny, a przy tym ciepły głos rozpozna każdy kto chociaż raz słyszał Leszka Herdegena. Ten aktor ma rzadki i niezwykły dar stwarzania nastroju samą intonacją swojego głosu. W jego interpretacji nawet przeciętny wiersz nabiera cech poematu, bo umie wydobyć z niego to co najlepsze i najbardziej wzruszające. Jest zresztą jednym z niewielu aktorów, którzy potrafią deklamować poezję współczesną, awangardową. Dzieje się to może też dlatego, że sam pisze wiersze. Zamieszcza je prasa literacka. Jego pierwszy zbiór wierszy doczekał się już drugiego wydania.

Leszek Herdegen przez ostatnie dwa sezony był aktorem Teatru Studio w Warszawie. Obecnie gra w Teatrze Powszechnym. Kinomani mogą go oglądać w „Potopie" w roli Sakowicza — sługi i „złego ducha" księcia Bogusława. Możemy go też usłyszeć i zobaczyć w TV w magazynie kulturalnym Pegaz, gdzie prowadzi swój stały felieton o poezji.

— CZYTELNICY PYTAJĄ, CZY NIE BYŁO PANU PRZYKRO, GDY W „POTOPIE" ODTWARZAŁ PAN POSTAĆ TAKIEGO ODRAZAJĄCEGO TYPA?

— Wiem, że młody widz bardzo często utożsamia aktora z graną postacią. To oczywiście jest naiwne. W wypadku Sakowicza było to po prostu ciekawe, chociaż na pewno niewielkie zadanie zawodowe dla aktora. Dlatego ciekawe, że niełatwe. Nie jest bowiem łatwo zagrać człowieka, który nie ma ani jednej dobrej cechy. Jest to przecież jedna z nielicznych postaci Sienkiewiczowskich zdecydowanie negatywnych. W „Potopie" jest takich tylko dwóch. Kuklinowski, który przypala Kmicica i Sakowicz. Bo wszyscy inni, nawet zdrajcy ojczyzny łącznie z Radziwiłłem mają jednak jakieś ludzkie cechy, swoje osobiste dramaty, ambicje, dylematy, które w jakiś sposób uczłowieczają ich, a nieraz nawet usprawiedliwiają ich postępowanie. Mój Sakowicz nie miał nic z tych cech, a więc niełatwo było go zagrać, by nie pozostał nieprawdziwą, sztuczną postacią.

— JAKA JEST PANA ULUBIONA ROLA TEATRALNA? JAKICH BOHATERÓW, KTÓRYCH POSTACIE ODTWARZAŁ PAN W TEATRZE DARZY PAN SPECJALNYM SENTYMENTEM?

— Nie jest ich wielu. Cesarz Cajus ze sztuki Camusa „Caligula" i Jordan z teatralnej adaptacji „Komu bije dzwon" Hemingway'a. Cajus mnie intrygował, fascynował, bo był człowiekiem pełnym sprzeczności. Despota, morderca, a przy tym liryk. Jordan to jest człowiek, który mi zawsze imponował swoim zaangażowaniem w sprawę, której poświęcił wszystko, nawet swoje życie. Jordan nigdy nie deklaruje swoich poglądów, nie mówi o nich, on działa. Jego pogląd na życie jest taki sam jak mój. Dlatego mogłem wyposażyć tę postać w swoje osobiste cechy. Był to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności, który nieczęsto zdarza się w teatrze.

— JAKĄ ROLĘ TELEWIZYJNĄ NAJMILEJ PAN WSPOMINA?

— Doktora Judyma w adaptacji „Ludzi bezdomnych" Żeromskiego. Jego filozofia nie może być zbyt popularna we współczesnym świecie. Ale w sumie jego postawa społeczna jest godna podziwu i naśladowania.

— A DO JAKIEJ ROLI FILMOWEJ MA PAN NAJWIĘKSZY SENTYMENT?

— Rola Pentuera w filmie „Faraon" dała mi najwięcej satysfakcji. Wiąże się to z literacką postacią stworzoną przez Prusa a także poziomem, wybitnego filmu Kawalerowicza. Poza tym egzotyka pracy podczas realizacji „Faraona", a więc cztery miesiące spędzone na pustyni, potem w Egipcie, stworzyły takie dodatkowe atrakcje, że prace nad tą rolą zawsze wspominam z największym sentymentem.

— CZY MÓGŁBY PAN ZDRADZIĆ TAJEMNICĘ, W JAKI SPOSÓB UCZY SIĘ PAN RÓL, BY JE NIE ZAPOMNIEĆ I NIE KORZYSTAĆ Z POMOCY SUFLERA?

— Trzeba pamiętać, że nasze możliwości psychofizyczne są od lat kształtowane w celu pamięciowego opanowania, nie tylko tekstu ale także różnych działań, które w teatrze, filmie, telewizji z próby na próbę rozwijają się i doskonalą. Ale w naszej pracy rządzą podobne prawa jak w szkole. Trzeba po prostu dobrze pamiętać, co było na poprzedniej lekcji (próbie), żeby móc zrozumieć dobrze lekcję następną. Trzeba także bardzo dokładnie odrobić zadanie domowe, by móc następnego dnia dobrze odpowiedzieć. Z tym, że w szkole może człowiek mieć szczęście i nie zostać wywołany do odpowiedzi, a w teatrze czy na innej próbie aktorskiej na takie szczęście nie można liczyć. Moja metoda uczenia się na pamięć roli czy wiersza polega przede wszystkim na przyswajaniu sobie wartości myślowych utworu. Zrozumienia o czym tu się mówi, czemu to służy, jakie jest jego zadanie, a potem dopiero w jakie to jest ubrane słowa, frazy, formę. I tego dopiero trzeba się nauczyć na pamięć. Ale ta czynność już nie jest taka trudna, powiedziałbym jest najprostsza, gdy posiada się już dokładną wiedzę rzeczową.

— JAK BY PAN ODPOWIEDZIAŁ NA PYTANIE — CO TO ZNACZY BYĆ AKTOREM?

— Dla mnie aktorstwo to przede wszystkim umiejętność zafascynowania widza nie swoją osobą, ale sprawą, ideą. Najszybszy i najlepszy kontakt z widzem następuje wtedy, gdy aktor ma rolę, która go osobiście interesuje, w którą zaangażował się bez reszty.

— CZYM JEST DLA PANA POEZJA, WIERSZE, KTÓRE PAN PISZE?

— To jest mój „drugi świat". Po prostu piszę wiersze tylko wtedy, gdy mam spokojną głowę i dużo czasu. Gdy nie muszę myśleć o teatrze, filmie, telewizji, próbach i spektaklach. Wtedy myślę o moich nowych wierszach. Czuję bowiem potrzebę przekazania swych własnych przeżyć, refleksji. Ale mogę jej nadać ostateczny kształt tylko wtedy, kiedy uda mi się oderwać od codzienności i przejść do tego drugiego bardzo intymnego świata.

Rozmawiał:
WOJCIECH WIŚNIEWSKI
Zdjęcie: **Jerzy Troszczyński**

5 minut z MAGDĄ

MOJA mama mówi, że jestem bałaganiara. Fakt, nie należę do osobników superporządnickich, takich jak Hanka, ale Bożena w porównaniu ze mną jest bałaganiarą kosmiczną. Gdyby moja mama obejrzała sobie szufladę jej biurka, to powinna się zawstydzić z powodu tych narzekań na własną latorośl.

No tak, ale mała jest szansa, żeby mama dokonała kiedyś wizytacji biurka Bożeny, a jeszcze mniejsza, żeby się zawstydziła. W myśl jej słów wstydzić powinnam się ja. Ponieważ zaś jestem istotą na ogół potulną (no, może z małymi wyjątkami) więc zabrałam się do porządków. Przyświecał mi w tej działalności świetlany ideał precyzyjnej w każdym calu Hanki. Zatemperowałam wszystkie ołówki i włożyłam je do drewnianego kubeczka, obłożyłam wszystkie zeszyty i wykaligrafowałam na nich własne nazwisko, powyrzucałam stare i niepotrzebne szpargały, poukładałam rzeczy w szufladach „w kostkę"... Gdy byłam bliska wymalowania na kawałku kartonu tygodniowego planu zajęć, coś się we mnie załamało. Niby dlaczego mam naśladować akurat Hankę?! Kto powiedział, że ona jest lepsza ode mnie, od Bożeny? A może to Bożena jest lepsza od nas obu, a może jeszcze ktoś inny?!

Zawsze muszę się na kimś wzorować. Czasami — jak tym razem — taki wzór podsuwa mi mama, czasami męczy mnie on po jakimś filmie czy książce, innym razem wynajduję go sobie sama. Ciągle więc naśladowania kogoś, dążenie, żeby upodobnić się do jakiegoś wzoru. W gruncie rzeczy, gdy głębiej się zastanowię, to wychodzi na to, że mnie jako mnie samej, wcale nie ma. Jestem zlepkiem bardziej lub mniej udanych imitacji innych ludzi.

A ja chciałabym być sobą. I wcale nie mam ambicji, żeby mnie stawiano komuś innemu za przykład, żeby mnie ktoś inny naśladował. O nie, za duża odpowiedzialność, mam tyle fatalnych wad. Hanka zresztą też nie jest ich pozbawiona, więc nie wiem jak mam ją naśladować — z wadami czy bez? Jeśli bez, to jak wybierać tę resztę, tę pozytywną? Przecież nie będę jej samej o to pytać. A nikt inny na to odpowiedzieć nie będzie potrafił, nawet mama.

Mam nadzieję, że kiedyś się z takiego „wzornictwa" wyrasta. Ciekawe, tylko kiedy. Czy ja już wyrastam, czy jeszcze nie?

Przy takiej głupiej sprawie zwyczajnych porządków okazało się, że wszystko jest bardzo skomplikowane. Tym niemniej trzeba przyznać, że porządek w biurku ułatwia trochę życie. Spróbuję więc sobie wyobrazić, że to był mój własny pomysł. Może mi się samopoczucie od tego poprawi?!...

MAGDA

LEŚNA DRUŻYNA

SZCZECIN (HSI). Drużyna harcerska złożona z uczniów piątych klas Szkoły Podstawowej nr 10 postawiła na... las. W każdą niedzielę organizowali wycieczki do lasu — próbowali poruszać się z mapą, wyznaczać azymut, grali w rozmaite gry terenowe. Zawarli też przyjaźń z leśniczym obwodu leśnego Głębokie, panem Ryszardem Papieżem. On opowiadał im o lesie — oni starali się pomagać mu w pracy. Początkowo polegało to tylko na wieszaniu karmników dla ptaków, ale pewnego dnia otrzymali nowe zadanie: poszukać sideł zastawionych przez kłusowników.

Zadanie było i trudne i niebezpieczne. Jednak ku swemu zdziwieniu znaleźli ich bardzo dużo. Radość była ogromna. Zdawało im się nawet, że wpadli na ślad szajki kłusowniczej! Niestety, okazało się, że były to sidła dawno już przez leśniczego odkryte i zabezpieczone. Urządził on po prostu harcerzom kształcącą zabawę. A zapowiadała się taaaka przygoda!

Podobne rozczarowania dane im było przeżyć jeszcze dwukrotnie. Raz na biegu patrolowym, kiedy to zgubiły się w lesie trzy osoby i w pobliżu znalazł się milicjant, który przyprowadził zbłąkanych na miejsce. Innym razem na zimowisku, gdy w czasie „zielonej nocy" drużyna chciała się na cmentarzu spotkać z duchami, a duchy... zignorowały spotkanie. Było to przykre, ale... może w świecie, w którym milicjanci wskazują w lesie drogę — duchów w ogóle nie ma?!

Tak więc wielkiej przygody harcerze z „leśnej drużyny" jeszcze nie przeżyli. Przeżywają jednak małe przygody. Zdobywają imię drużyny — za bohatera wybrali sobie Jana Pileckiego, byłego leśniczego obwodu leśnego Dąbie. Przeprowadzają wywiady z ludźmi, którzy znali Pileckiego, zbierają pamiątki po nim, robią fotokopie zdjęć. Chcieliby już wkrótce złożyć przyrzeczenie harcerskie — to też wymaga pracy i przygotowań. No i oczywiście często bywają w lesie. Zawsze pod wodzą swego drużynowego phm Ryszarda Radke. **(jw)**

SZKOLNA LIGA MINI-BASKETU

PIERWSZE MISTRZOSTWA W DZIELNICY

W naszej szkole od początku bieżącego roku gramy już w mini-koszykówkę. Zaczęło się od tego, że Wydział Oświaty i Wychowania W-wa Praga Południe przekazał wszystkim szkołom podstawowym w naszej dzielnicy tablice do mini-basketu. Od tej pory wszystkie młodsze klasy zaczęły grać! W pierwszych mistrzostwach dzielnicy najlepiej wypadła nasza drużyna chłopców z klas piątych SP — 168, zdobywając I miejsce. Treningi prowadzą nauczyciele wf na lekcjach i dodatkowych zajęciach popołudniowych. Gramy również na zbiórkach harcerskich. W bieżącym roku zamierzamy zorganizować szkolną ligę mini-basketu. Chętnie również zagramy towarzyskie mecze z drużynami innych dzielnic.

Krzysztof Lato
Warszawa

OPERACJA „Suchy chleb"

- **Dzisiaj harcerze ze Szczecinka**
- **Kto następny?**

Niedawno, pisząc o pracy harcerzy z Rybnika i organizowanej przez nich zbiórce suchego chleba, zadaliśmy pytanie, kto następny? Tak się złożyło, że niedługo potem odwiedziliśmy Szczecinek...

Komenda Hufca jest sztabem głównym. Już od piątku urywają się telefony...

— Tu patrol z ulicy Kościuszki. Zaginął pojemnik na osiedlu. Postawiliśmy na razie tekturowe pudła, ale mało kto przynosi chleb. Ludzie już przyzwyczaili się do żółtych pojemników.

— Mówi ulica Żukowa. Chleb nie mieści się w pojemniku. Przyślijcie następny!

Do poniedziałku takich telefonów były dziesiątki. W ostatnim dniu, poprzedzającym akcję, na ulicach Szczecinka spotkać można było harcerzy z barwnymi transparentami, na których dowcipne hasła nawoływały do zbiórki suchego chleba. Jej organizatorzy nie ograniczyli się zresztą do samych tylko pochodów — wizyty w mieszkaniach prywatnych sprawiły, że plon zbiórki zapowiadał się imponująco.

We wtorek, punktualnie o godzinie 16.00, spod sztabu głównego wyruszyły dwa „Żuki". Załogę ich stanowili harcerze. Ten, w którym znalazł się Janusz Jasiński i Marek Piskorski miał za zadanie zebrać chleb z południowej części miasta.

Mają ze sobą plan Szczecinka z naniesionymi nań żółtymi punkcikami oznaczającymi położenie pojemników. Zapada już zmierzch. Reflektory wyłuskują żółty kształt pojemnika z czerwonym napisem „chleb". Janusz i Marek wyskakują z samochodu. Cały pojemnik jest pełny. Dobra zapowiedź. Niestety, w nowym osiedlu wszystkie pojemniki są puste. Po krótkiej naradzie zapada decyzja o zmianie rejonu penetracji. Bez nadziei, tak na wszelki wypadek, przyjeżdżają do jeszcze jednego pojemnika na tym pechowym osiedlu. Co to?! — dwie nachylone postacie pośpiesznie wygarniają z niego chleb do przepastnych toreb. W pierwszej chwili, odruchowo, Janusz chce interweniować — „przecież to nasz chleb!" Marek jednak uspokaja go — „Nie w tym rzecz. Ten chleb na pewno się nie zmarnuje. A o to przecież chodzi". Zagadka pustych pojemników wyjaśnia się: okoliczna ludność posiada niewielkie gospodarstwa rolne, tych ludzi nie trzeba przekonywać, że suchy chleb stanowi wartościową paszę. Szkoda tylko, że w taki sposób ją zdobywają...

Późnym wieczorem dwa napełnione samochody dojeżdżają do tuczarni pobliskiego PGR. Jeszcze tylko wjazd na wagę, szybkie wyładowanie, pokwitowanie dostawy i koniec. Ale tylko na dziś, bo kolejna operacja „Suchy chleb" odbędzie się w Szczecinku już za dwa tygodnie. I **gdzie jeszcze?!** Czekamy na informacje w tej sprawie!

W. SŁOWIŃSKI

Zdjęcie: **M. Szymański**

REPORTER ŚWIATA MŁODYCH — KŁOPOTY MICHALINA

Ktokolwiek chciałby odwiedzić Michalin, nie będzie miał trudności z dojazdem do niego. Wystarczy wsiąść w Warszawie do pociągu na Otwock i wysiąść przed nim o trzy stacje. Nieznajomy podróżnik od razu by się zorientował, że Michalin to nie wieś, nie miasto, oznaczone na dokładnej mapie, lecz niewielka wczasowa osada, licząca 17 tys. mieszkańców. Jeżeli podróżnik ów przyjechał tu na wypoczynek, to trafił dobrze. Po obu stronach torów kolejowych jest szereg pięknych, malowniczych willi wybudowanych przez dawniejszą właścicielkę tych stron, Michalinę Gatowską, od której imienia pochodzi nazwa tej osady.

Obok zabudowań mieszkalnych, licznych sklepów prywatnych i państwowych, domów dziecka, prywatnych warsztatów pracy, szkoły i innych bardziej lub mniej ważnych budynków, Michalin wypełniony jest sosnowym lasem, do którego w piękne pogodne niedziele po tygodniowej pracy przyjeżdżają na wypoczynek mieszkańcy stolicy.

Głównym problemem mieszkańców Michalina jest słabo rozwinięta komunikacja. Nie ma tu ani postoju taksówek, ani PKS, jedynie stacja kolejowa. W wypadku uszkodzeń linii mieszkańcy zdani są na własne nogi. Obecnie połowa z nich pracuje w warszawskich zakładach i trudny dojazd do miejsca pracy staje się z każdym dniem coraz bardziej denerwujący. Problemy z dojazdem mają także michalińscy uczniowie, których trasa do szkoły wynosi nieraz kilka km. Tą ważną dla wszystkich sprawą zainteresowała się Miejska Rada Narodowa w Józefowie (sąsiadujące miasteczko), obiecując pomoc. Zobaczymy...

Głównym miejscem spotkań organizacyjnych, mieszkańców jest Szkoła Podstawowa, do której uczęszcza ok. 900 uczniów. Na ulicy Słonecznej znajduje się pomnik ku czci poległych bohaterów, którzy w czasie II wojny światowej założyli w tym miejscu tajną drukarnię. Miejscem tym opiekują się harcerze, którzy nigdy nie zapominają o złożeniu na nim symbolicznych kwiatów. W przyszłości w Michalinie zostanie wybudowany Młodzieżowy Dom Kultury, kino, basen, obiekty sportowe i pierwsze w tych okolicach zakłady energetyczne. Oby tylko nie zatruły atmosfery...

Joanna Piasecka

Nie wiem co mam zrobić z „Mini encyklopedią"; drukować kolejne jej odcinki, czy w ogóle zaprzestać tej akcji — do czego namawia mnie Marek Wemerling z Koszalina. Pisze on mianowicie, że pisanie tej mini encyklopedii jest pracą syzyfową, bo przecież i tak nie stworzymy prawdziwej encyklopedii kosmicznej. I to jest święta prawda, byłoby megalomanią gdybym tak sądził. Z drugiej jednak strony wielu czytelników TOMIKA, szczególnie tych początkujących, zupełnie nie zna „astronomicznego abecadła" i z myślą o nich zamieściłem pierwsze dwa odcinki „Mini encyklopedii". A więc co proponujecie?

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Sensacje marsjańskie sprzed lat

ODKRYCIE na Marsie kanałów wywołało na Ziemi prawdziwą burzę. Sam Schiaparelli, chrzcząc te twory mianem „kanałów", nie chciał sugerować, że są one pochodzenia sztucznego, jako dzieło istot inteligentnych. Innego jednak zdania był szeroki ogół, pragnący ujrzeć na powierzchni naszego sąsiada miliony istot rozumnych, braci walczących jak i my o swój byt, którzy skonstruowali ogromną sieć kanałów celem nawodnienia swych pustyń. Opinia ta, dzięki żywiołowemu wprost uznaniu jakiego doznała na szerokim świecie, przedostała się powoli również do sfer uczonych i tu nawet zyskała zwolenników.

Niezależnie od tego jakie dziś zajmujemy stanowisko w sprawie owych kanałów, uznać jednak musimy, że wiara w ich istnienie, która wtedy pod koniec przeszłego i na początku tego stulecia ogarnęła wszystkich, przyniosła jednak dobre owoce. Ludzkość, jak może nigdy przedtem, zaczęła interesować się nauką o gwiazdach. Powstało na przykład ogromne Flagstaff-Observatory, zbudowane przez Lowella w Ameryce tylko w tym celu, by badać powierzchnię Marsa.

Fantastyczne powieści o tematyce marsowej miały również swoją dobrą stronę. Poruszono bowiem w nich stare zagadnienie podróży międzyplanetarnej. I choć pomysły sprzed lat przeważnie nie były realne pod względem technicznym, z nich jednak — a raczej na ich tle — wyrosły współczesne badania komunikacji międzyplanetarnej.

Nim jednak zebrano się do urzeczywistnienia podróży na Marsa, zamierzano skomunikować się z mieszkańcami tej planety, dać im koniecznie znak życia. Pomysłów porozumienia się z Marsjanami było bardzo wiele. Na przykład w roku 1909 Alfonso de Castilho z Lizbony proponował zainstalować w tym celu w różnych punktach Ziemi olbrzymie aparaty projekcyjne, rzucające potężne równoległe słupy światła w przestrzeń. Krótko przed, względnie zaraz po opozycji, Ziemia widziana z Marsa przedstawia się w postaci sierpa (oczywiście zakładając, że Marsjanie mają do dyspozycji lunety). Castilho radził więc ustawić aparaty świetlne wzdłuż miejscowości, w których Słońce zachodzi w pewnym dniu o tej samej porze, czyli wzdłuż tak zwanego terminatora, odgraniczającego światło od cienia, i wysłać sygnały świetlne z chwilą nastania nocy. Jak sądził Castilho, można by wtedy łatwo za pomocą takich sygnałów udowodnić Marsjanom istnienie istot inteligentnych na Ziemi.

Inaczej wyobrażał sobie sygnalizację świetlną William Pickering. Po wschodzie Słońca lub przed jego zachodem, światło słoneczne, miało zostać, za pomocą potężnych reflektorów zmontowanych równikowo, odbite w kierunku Marsa. Ówczesne dzienniki głosiły, że sygnały te mają być wysłane w hpcu roku 1909. Wyraził on poza tym przypuszczenie, że Marsjanie prawdopodobnie dawno już próbowali skomunikować się z Ziemią, my zaś o tym niestety nie dowiedzieliśmy się, gdyż dopiero od kilkudziesięciu lat naprawdę skrupulatnie badamy powierzchnię naszego sąsiada. W roku 1909 spodziewano się wobec tego również sygnałów z Marsa. Jakiś pan Todd oświadczył nawet, że we wrześniu wzniesie się balonem możliwie jak najwyżej, aby ewentualnie pochwycić fale herzowskie (radiowe), jeśliby przypadkiem Marsjanie zamierzali skomunikować się z nami, wykorzystując tak wyjątkowe zbliżenie się planet. Kroniki astronomiczne milczą o tym czy pan Todd wzniósł się faktycznie do eterycznych regionów i jakie mądrości przesłali mu Marsjanie na drodze iskrowej, używając oczywiście naszych znaków Morsego.

Rysunek Marsa, wykonany na podstawie obserwacji astronomicznych. Wyraźnie widoczne są ciemne rejony „mórz", jasne — „lądów" oraz łączących je „kanałów". U góry — biała czapa polarna.

Byli jednak i wtedy również ludzie, którzy zapatrywali się sceptycznie na takie próby skomunikowania się z mieszkańcami planety boga wojny. Do tych należał m.in. kalifornijski uczony E.Z. Larkin.

Darek Figlewski
Warszawa

PODRÓŻ PRZYSZŁOŚCI

DROGI TOMIKU! Chcielibyśmy zaprezentować przyszłościową podróż na Marsa.

Najbliższym celem po Księżycu wydaje się przede wszystkim planeta Mars. Nic dziwnego, że wielu wybitnych specjalistów opracowało mniej lub więcej szczegółowe projekty ekspedycji na tę planetę. Według ostatecznej wersji w wyprawie na Marsa ma wziąć udział 12 ludzi, którzy polecą dwoma statkami kosmicznymi. Statki te mają być skonstruowane na orbicie sztucznego satelity Ziemi, skąd wystartują do właściwej podróży.

Każdy z obu statków będzie miał masę około 1700 ton. Jeden z nich będzie przeznaczony dla załogi, a drugi — jako rakieta transportowa.

Droga, aż do osiągnięcia bezpośredniego sąsiedztwa Marsa, trwać ma około 260 dni. Dotarłszy w okolicę Marsa statki staną się jego sztucznymi satelitami. Załoga przystąpi wtedy do badań powierzchni i do przygotowania operacji lądowania. Po dokładnym zapoznaniu się z istniejącymi warunkami, 9 ludzi wsiądzie do odpowiednio przysposobionego statku „pasażerskiego", podczas gdy rakieta transportowa wraz z pozostałymi 3 członkami załogi pozostanie na orbicie satelitarnej. Statek „pasażerski" wyląduje na Marsie, a jego załoga przystąpi do zakrojonych na szeroką skalę badań naukowych, które będą trwać około 400 dni.

Masa startowa powracającego na Ziemię statku wynosić będzie około 215 ton wraz z załogą i z 5 tonami zebranego na powierzchni Marsa materiału naukowego. Podróż powrotna na Ziemię trwać będzie również około 260 dni.

Jest rzeczą prawdopodobną, że zanim człowiek będzie zdolny do odbycia takiego lotu na Marsa, istnieć już będą rakiety o napędzie jądrowym.

Krzysztof Pryziński i Paweł Bassil
Komorów

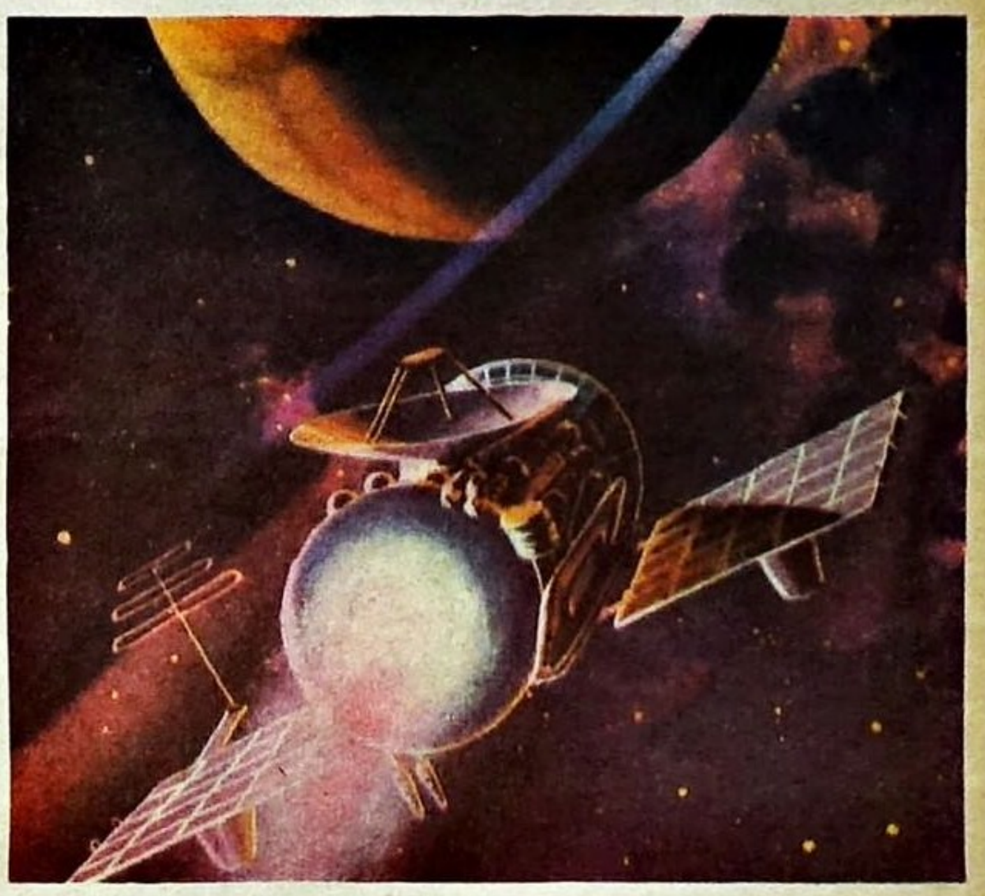

Posuwaliśmy się ciągle wzdłuż rzeki. Kryształowo czystej wody do picia nie brakowało, a z kąpieli korzystaliśmy w godzinach największego gorąca.

Szlak nasz nie był trudny — szeroka, trawiasta płaszczyzna ograniczona z jednej strony korytem wspomnianej rzeki. Któregoś dnia drogę zwęził nam podłużnie ciągnący się kanion o stromych ścianach i ginącym w mroku dnie. Zdumiewające były jego barwy! Poprzeczne, kolorowe pasy biegły jeden nad drugim, na przemian zielone, żółte i różowe. Nie mogłem oczu oderwać od tej tęczy, nie wymalowanej na niebie, lecz utrwalonej w ziemi. Dopiero Karol fuknął na mnie, ostrzegając, że jeśli co krok będę kontemplował piękno, nigdy nie dobrniemy do celu.

Tego samego dnia, pod wieczór, Karol i Gonzales ustrzelili nad rzeką dwie antylopy. Nie przypuszczałem, że te typowe dla prerii północnoamerykańskiej zwierzęta mogą zawędrować tak daleko na południe. Gonzales przyznał, że nigdy dotąd nie spotkał tych czworonogów na ziemiach Meksyku. Mieliśmy więc wyjątkowe szczęście oraz... sporą ilość wybornego mięsa.

Wolno, lecz nieprzerwanie posuwaliśmy się w głąb Sierra Madre i ciągle towarzyszyła nam spieniona rzeka, tworząc granicę nie do przebycia. Droga nadal była wygodna. Zastanawiałem się jednak, co poczniemy, gdy szlak zwęzi się do szerokości ścieżki. Senora Concepcion nie obawiała się tego, twierdziła, że ci, którzy przed wielu laty posuwali się w tym samym kierunku, jechali konno, z czego wynika, że trasa musi być dość szeroka. Następne dni potwierdziły prawdę jej słów. Droga, zamiast się zwężać, jeszcze się poszerzyła, bo zagubił się ograniczający ją kanion, a jego miejsce zajął łagodny stok, od pewnej wysokości porosły lasem.

Następnego dnia dotarliśmy do dziwnej polanki. Piszę: dziwnej, ponieważ miała zdumiewająco regularny kształt koła. Z lewej strony ograniczało ją wzniesienie porosłe starodrzewem, z prawej — rzeka. Naprzeciw dźwigała się dziwacznych kształtów samotna skała, rozdzielająca prostą dotąd drogę na dwie części: prawą — wiodącą nadal

wzdłuż koryta rzeki, lewą — zagłębiającą się wąwozem w górskie zbocze.

Zatrzymaliśmy się, chociaż daleko jeszcze było do końca dnia. Należało bowiem zastanowić się nad wyborem dalszej trasy. Senora Concepcion wydobyła z wozu plik map. Rozłożyliśmy je w cieniu drzew, na ziemi, a nasza przewodniczka poczęła ołówkiem i cyrklem odmierzać przebytą drogę. Spoglądaliśmy na to w milczeniu: hacjender, Bede i ja. Natomiast Karol zabrał długą broń i ruszył w głąb wąwozu, wyjaśniając nam, że spróbuje tylko „coś ustrzelić" i wkrótce wróci.

Łagodny wietrzyk spadał z wysoczyzn, szeleścił papier porozkładanych map. Kilka kroków od nas konie szczypały trawę, vaquerzy rozmawiali półgłosem.

— Według moich obliczeń — powiedziała senora — znajdujemy się bardzo blisko pierwszego z tych tajemniczych znaków widocznych na pańskiej mapie, doktorze.

— Ba — wtrącił się hacjender — gdybyśmy wiedzieli, czego szukać? Bo mogło się zdarzyć, że mamy już to za sobą.

— Lecz przecież — zauważyłem — znak musiał być zrobiony wyraźnie, tak aby go nie przeoczyć.

— Zapewne, zapewne — zgodził się Gonzales — ale ile już lat minęło od tamtych dni? Przez cały ten czas przyroda na pewno nie pracowała nad polepszeniem oznakowania, raczej je zatarła.

Nic na to nie odrzekłem, racja była po stronie Gonzalesa. I oto nowy kłopot!

— Nie możemy dalej ruszać bez odszukania znaku — powiedziała senora. — Trzeba dokładnie sprawdzić kawałek drogi za nami i kawałek przed nami.

Na szczęście nie doszło do tak żmudnych poszukiwań. Ledwie zdążyliśmy wstać, ukazał się Karol.

— Już z polowania? — zdziwiłem się. — Nie znalazłeś zwierzyny?

C.d.n.

JONKA, JONEK i KLEKS 22

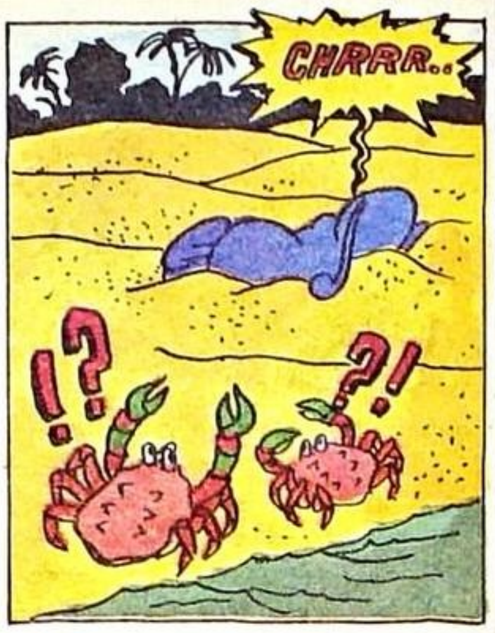

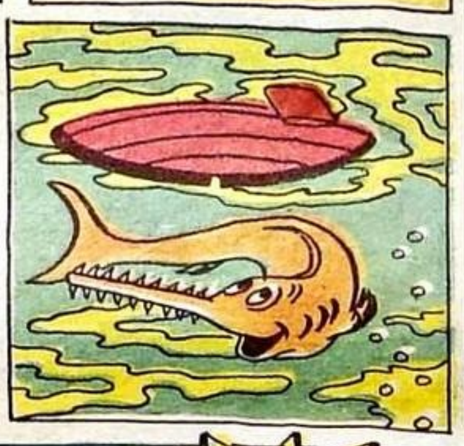

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Teresa Droga-Kupczyńska, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA — (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i powiatowych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa.

Opracowanie graficzne: Tadeusz Baranowski
Redakcja techniczna: Witold Stefańczak

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.
32/1508 B-61
Nr indeksu — 35039/35046

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

WIESŁAW WERNIC

NA POŁUDNIE OD RIO GRANDE 24.

TO JESZCZE NIE KONIEC moich wątpliwości. Dlaczego ci Kreole i cudzoziemcy wynajęli tu przewodnika, mając ze sobą kilku Indian?

Uśmiechnęła się:

— Zbyt wiele pan ode mnie wymaga. — Nie wiem. Być może tamci Indianie-Zapotecy nie znali tak dobrze gór, jak mieszkańcy wioski. Lecz chyba nie to jest ważne, lecz fakt, że opowieść obu rybaków niewiele różni się od tej, którą zeznał księdzu umierający Zatopek. I dlatego twierdzę, że znajdujemy się na właściwym tropie! To, że spotkaliśmy rybaków, to nadzwyczaj szczęśliwy zbieg okoliczności.

— Zamierza pani nająć przewodnika? — zapytał Karol.

— Nie. Nawet gdybyśmy w dalszej drodze mieli trafić na trudności, lepsze to niż wtajemniczanie tych ludzi w nasze sprawy. Zbyt wielkie ryzyko.

— Więc oni nie wiedzą, co jest celem naszej wyprawy?

— Polowanie, po prostu polowanie. Tyle im powiedziałam.

— Senora jest bardzo przewidująca — wtrącił się Coyle. — I słusznie była tak powściągliwa w mowie. W przeciwnym wypadku nieco lękałbym się tego... Quetzalcoatla.

Roześmieliśmy się, a pani Gonzales dodała:

— Gadulstwo nigdy nie jest cnotą i raczej cechuje... kobiety, lecz ja, gdy wdzieję męski strój, zaraz zmieniam skórę.

— Dlatego mnie nieco dziwi, że ci rybacy tak łatwo zdradzili obcym swą tajemnicę. Znam nie od dziś Indian i wiem, że są ostrożni w udzielaniu informacji nieznanym przybyszom — zauważył Karol.

— Prawda — przyznała — chociaż meksykańscy autochtoni są nieco inni. Długoletnie rządy Hiszpanów wywarły swój wpływ na starą ludność Meksyku. Znacznie silniejszy niż Anglicy na Indian północnoamerykańskich.

— Ciekawe stwierdzenie — mruknął Karol, ale tak, że go wszyscy usłyszeli.

— Nie zgadza się pan?

— Nie wiem, nie znam Meksyku.

— A więc różnica polega na tym, że hiszpańscy konkwistadorzy nie przybyli tu, aby wieść żywot rolników, jak pierwsi osadnicy Ameryki Północnej. Tym ostatnim potrzebna była tylko ziemia, tym pierwszym: ziemia i ludzie, którzy by ją uprawiali. Anglicy stopniowo wypierali Indian z najurodzajniejszych terenów, konkwistadorzy szybko opanowali cały Meksyk, czyniąc z ludności tubylczej niewolników pracujących na roli dla swych panów. Taka niewolnicza praca pokoleń musiała wywrzeć ujemny wpływ na charakter miejscowej ludności. Indianie północnoamerykańscy, cofając się na zachód, długo jeszcze korzystali z wolności i mogli prowadzić walkę do ostatka. Tu działo się inaczej. Wraz z podbiciem państwa Azteków przez Corteza złamany został wszelki opór.

— Świetnie się pani orientuje w historii swej ojczyzny — powiedziałem z uznaniem. — Jeśli jednak wola walki została złamana, jak wytłumaczyć oderwanie się Meksyku od Hiszpanii?

— Trafił pan w sedno, doktorze. Trzeba jednak wiedzieć, że inicjatywa uniezależnienia się od Madrytu wyszła od Kreolów, podobnie jak inicjatywa uniezależnienia dawnych kolonii angielskich w Ameryce Północnej wyszła właśnie od samych Anglików. U nas pierwszym, który wystąpił przeciw Madrytowi, był ksiądz Hidalgo, Hiszpan. Tej samej narodowości był Franciszek Ksawery Mina. Hiszpanem z pochodzenia był Antonio Lopez de Santa Anna, przez długie lata walczący o niezależność tych ziem. Juarez nie zwyciężyłby, gdybyśmy nie wspierali go w walce. My, Kreole! Tak to wygląda. No... zbyt daleko odbiegam od tego, co nas w tej chwili najbardziej interesuje. A więc, uzyskałam te wszystkie informacje dzięki temu, że powiedziałam młodemu rybakowi, iż mój daleki krewny zginął w wyprawie w Sierra Madre, i pytałam, czy czegoś o takiej wyprawie nie słyszał. Reszty... dokonały cygara! I to wszystko. Przewodnika nie weźmiemy, powinny nam wystarczyć mapy.

— Sprawa jest jasna — zabrał głos hacjender. — Chyba teraz nikt z was nie wątpi, senores, że opawieść o tajemniczej wyprawie była zgodna z prawdą.

Nie wiem, co myśleli moi towarzysze, ja zgadzałem się z Gonzalesem.

Rankiem rozstaliśmy się z jeziorem i dotarliśmy do ujścia wpadającej doń rzeki. To była górska rzeka, co się zowie! Z korytem poprzegradzanym kamiennymi progami z potężnych głazów, o które rozbijała się woda, pełna pian, wirów i szumiących bystrzyn. Ten widok potrafił zniechęcić największego nawet śmiałka do podejmowania ryzyka przeprawy. Nam ani w głowie to było.

Pochód otwierał Gonzales z małżonką i córką, później — ja, Karol i Bede. Za nami toczył się wóz, a kawalkadę zamykali vaquerzy z Coylem jako dowódcą.

Powolna to była wędrówka ze względu właśnie na wóz, wypełniony amunicją i żywnością, bo Gonzales przezornie zabezpieczył się w żywność, nie licząc zbytnio na myśliwskie trofea.

ciąg dalszy na str. 7